

Jestem prawdziwa

Z Krystyną Jandą, aktorką Teatru Powszechnego w Warszawie, rozmawia Wiesław Kowalski



– Podczas gościnnych występów warszawskiego Teatru Powszechnego w Bydgoszczy dotarła do pani wiadomość o zdobyciu TeleMaski, nagrody dla najpopularniejszej aktorki Teatru Telewizji minionego sezonu. Serdecznie gratulujemy.

Maria Callas, Marlena Dietrich, Shirley Valentine, Marta w „Kto się boi Virginii Woolf”, Ruth Steiner w „Opowiadaniach zebranych”, Matka w „Nocy Helvera”, mala Steinberg to galeria postaci, która wciąż pozostaje w pani teatralnym repertuarze. Jak to jest, kiedy nosi się w sobie tak wiele różnych scenicznych bohaterów?

– Nie ma w tym, moim zdaniem, nic nadzwyczajnego. To jest praca jak każda inna. Czasami myślę, że to może i niezdrowe, ale już się do tego przyzwyczaiłam. Nauczyłam się już dość dawno temu kończyć jedną sprawę i natychmiast zajmować się czymś innym. I to wszystko.

– W przypadku „Opowiadań zebranych” Donalda Marguliesa, pokazanych dwukrotnie w Bydgoszczy, nie ukrywała pani, że chce się podzielić swoim 25-letnim doświadczeniem teatralnym z partnerującą pani w tym spektaklu córką, Marią Seweryn – „Marysia co wieczór uczy się aktorskiego rzemiosła, a ja to koryguję”.

– Zdecydowałam się na ten krok, ponieważ takiej roli jak Lisa Morrison, napisanej – że tak powiem – trybem realistycznym, brakowało w dotychczasowym dorobku scenicznym mojej córki. A na takim repertuarze aktor doskonale uczy się tajników zawodu i aktorskiego rzemiosła. Inne stylistyki, nie do końca realistyczne, nie mogą nauczyć ani pragmatycznego myślenia, ani zasad konstruowania roli, o jakich pisał chociażby Stanisławski. Dlatego uznałam, że stać mnie na to, by Marysi zafundować taką prywatną „szkołę jazdy”. Podczas tych dwóch lat grania spektaklu Marysia na pewno nie tylko wiele rzeczy się nauczyła, ale przede wszystkim zrozumiała, że to, co robimy na scenie, nie bierze się znikąd, że

wynika z logicznego myślenia i bardzo precyzyjnego wyboru środków wyrazu; że to konsekwencja dokonywanej w trakcie pracy selekcji. Bo każda rola to seria kolejnych rezygnacji i wyborów właściwych dla danej poetyki, stylistyki czy formy przedstawienia. Zaś aktorski warsztat to abecadło, które pozwala nam porozumiewać się z publicznością tak, by z tego kontaktu wynikało coś ważnego i szlachetnego. I na tym, by te prawidła i reguły Marysia zrozumiała, zależało mi najbardziej. Sztuka aktorska to nie tylko natchnienie czy dar od Boga, ale również istnienie pewnych umiejętności pozwalających osiągać dyspozycję emocjonalną; to rodzaj specjalnej – rzekłabym – inteligencji w próbie zainteresowania sobą widowni.

Wiemy przecież, że są aktorzy o doskonałym rzemiosle, których publiczność nie chce dłużej oglądać i stają się artystami do „krótkich” zadań. Ale są też tacy, którzy – pomimo popełnianych błędów – skupiają na sobie uwagę. I chciałam, by Marysia sobie to wszystko uświadomiła, by nauczyła się korzystać z tej praktycznej wiedzy, którą jej przekazuję. Dlatego tak mnie cieszy, że jest wreszcie dobrze słyszalna, że nie popełnia już na scenie podstawowych błędów ru-

chowych. Zresztą cały czas nad tym czuwam i to kontroluję. Nawet w Bydgoszczy tłumaczyłam, by zwracała uwagę na wyrażanie emocji w różnych sytuacjach scenicznej przestrzeni.

– Jak zareagowała pani na próby zdeprecjonowania tego spektaklu przez niektórych warszawskich krytyków, którzy pisali o nim w kategoriach wydarzenia towarzyskiego, a nie artystycznego? To chyba krzywdzące i niesprawiedliwe sądy.

– Oczywiście, że niesprawiedliwe, i to głęboko, choćby z jednego powodu. Byłam pierwszą osobą, która prywatnie zdecydowała się na zrealizowanie tak dużego teatralnego przedsięwzięcia. I tego nie uszanowano i nie doceniono. A byłam przecież prekursorką ruchu, który za chwilę pojawił się w całym kraju. Ale to ja wykonałam pierwszy krok. W dodatku nie wzięłam na warsztat tekstu, który by się ewidentnie podobał każdej publiczności i przez to dobrze się sprzedawał. Tego też nie uszanowano, podobnie jak mojej reżyserii – niezwykle celnej, precyzyjnej i logicznej, a także scenografii, której od lat nie widziano w teatrze realistycznym, przygotowanej przez Macieja Putowskiego, najwybitniejszego polskiego sce-

WYWIAD

nografa filmowego. Niestety, po raz kolejny, zostałam niesprawiedliwie potraktowana przez grupę ignoranów i bufonów, którzy nie potrafią spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. I tym faktem jestem oburzona i obrażona. A przecież mogłabym pójść na łatwiznę. Ale w tym przypadku naprawdę nie chodziło o zarabianie pieniędzy, lecz przede wszystkim o wyprodukowanie przedsięwzięcia, które nie mogłoby powstać w wielu polskich teatrach. I to, że tego nie zauważono, uważam za objaw kumoterstwa i ludzkiej małości. Dlatego od tej pory nie czytam już teatralnych recenzji.

Proszę zwrócić uwagę, ileż współcześnie uniwersalnych problemów niesie z sobą tekst Marguliesa. Dotyka przecież zagadnień wymiany pokoleniowej w świecie sztuki, powinności artysty wobec odbiorcy, moralności w sztuce i w życiu. To naprawdę wspaniały dramat. I tego też nie dostrzeżono. Ale ja wiem, dlaczego, ponieważ znam zakulisowe podteksty tych opinii rządzących się tylko i wyłącznie prywatnymi interesami ludzi związanych z pieniędzmi.

– Od lat 90. pani bycie w teatrze to pasmo nieustających sukcesów u publiczności, która panią kocha i uwielbia. Czy zgadza się pani z tym, że masowa publiczność ma konserwatywny gust?

– Zgadza się, i to absolutnie. Ludzie lubią tradycyjny mieszczański teatr realistyczny. A ja jestem prawdziwa. Niby to nic – prawda na scenie. Ale to nie zdarza się często i dlatego publiczność to kocha. I nic na to nie poradzi ani awangarda, ani teatr offowy, z których nie da się uczynić głównego nurtu w sztuce teatru. Bo tym będzie zawsze teatr tradycyjny.

– Publiczność bydgoska mogła pani również zobaczyć w roli Marty w „Kto się boi Virginii Woolf” Albe’ego. Czy legenda obrosła wokół tej roli stanowiła dla pani jakieś brzemię?

– Absolutnie nie. Dla mnie najważniejsze jest, by dzisiejsza publiczność zrozumiała ten tekst i na moment się przy nim zatrzymała. A jest to jedna z wielu istniejących w dramaturgii historii o miłości, nie szczęśliwym związku małżeńskim, tragedii ludzkiej, która podana jest w niezwykle atrakcyjnej formie, zarówno od strony psychologicznej, jak i literackiej; napisana z nieprawdopodobnym wdziękiem; stawiająca przed aktorami fascynujące zadania aktorskie. I tylko to się liczy. O tradycji grania roli staram się w ogóle nie myśleć.

Albec doskonale wiedział, że widzowie uwielbiają, jak się o innych ludziach mówi na scenie, jak się z nich kpi. I na tym prostym, „najniższym” instynkcie oparł cały ten te-

atralny wieczór, nie pozbawiając go przy tym głębi psychologicznie wiarygodnych międzyludzkich zachowań. I my aktorzy staramy się to wszystko w sposób przekonujący przekazać.

Długo zastanawiałam się nad przyjęciem tej roli. Już dużo wcześniej miałam kilkakrotnie propozycje zagrania tej postaci. Po prostu uważałam, że jest to rola ewidentnie dla mnie napisana i nie chciałam się zajmować czymś tak prostym. Wreszcie jednak zdecydowałam się za sprawą Władysława Pasikowskiego wejść w tę przygodę. Bo to wielka przyjemność i radość. Przede wszystkim ze spotkania z Markiem Kondratem, który jak nikt inny potrafi perfekcyjnie prowadzić dialog na scenie. Jest w sztuce konwersacji absolutnym mistrzem, szczególnie uwrażliwionym na jego rytm. Dlatego każdy spektakl, nawet jeśli się nieco różni, układa się w muzyczną partyturę.

– Czym było dla pani spotkanie w teatrze z Władysławem Pasikowskim, znanym dotychczas tylko ze swoich filmowych dokonań?

– Byłam bardzo ciekawa tego spotkania. Tym bardziej, że tekst Albe’ego, kiedyś skandalizujący, już dziś takim nie jest. W związku z tym myślałam, że Pasikowski będzie chciał coś specjalnego w sensie interpretacji scenicznej wymyślić. Tymczasem on potraktował ten tekst z całym szacunkiem dla jego tradycji, wręcz się mu pokłonił. I to zasługuje na pełne uznanie. A dziennikarze już podejrzewali, że na scenie zobaczą biegających w neglizju, jeśli nie gołych, aktorów, jednocześnie się masturbujących i opluwających. A tu nic z tego. To były znowu insynuacje, a może tęsknoty małych ludzi. Pasikowski okazał się być ponad te oczekiwania i wyreżyserował spektakl z pełnym szacunkiem, estymą dla tekstu, dokonywanych skręśleń i konstrukcji postaci. To było spotkanie z człowiekiem rzetelnym, który bez próby szokowania publiczności, dokładnie wiedział, czego chce. Spotkanie z nim było jak woda źródłana.

– Kiedy zobaczymy nową sztukę w pani reżyserii w teatrze?

– Aktualnie reżyseruję przede wszystkim w Teatrze Telewizji. To jest moje ukochane miejsce reżyserkiej pracy. Zrealizowałam już w telewizji 9 spektakli. Co sezon przygotowuję nowe przedstawienie. Zajmuję się tak wieloma rzeczami, że na reżyserię w teatrze nie starcza mi już czasu. W końcu mam tylko jedno życie, które i tak spędzam niezwykle aktywnie zawodowo. A w telewizji jeden spektakl przygotowuje się pół roku. To nie są żarty, dlatego z czegoś trzeba zrezygnować.

(Wywiad nieautoryzowany)

Zdj.: strona internetowa

Krystyny Jandy

